Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 35. Poznań dnia 26. Listopada. 1838.

Literatura zagraniczna.

Berliner Kalender auf das Gemein-Jahr 1839. Herausgegeben von der Königl. Preuß. Kalender-Deputation.

(Dokończenie.)

O dochodach królewskich mówiąc autor artykułu, utrzymuje, że monarchowie polscy tak szczupłe mieli dochody, iż częstokroć zostawali w niedostatku pierwszych potrzeb życia. Twierdzenie to jest zupełnie fałszywem; dochody bowiem monarchów polskich były bardzo znaczne, znaczniejsze nawet, niż monarchów wielu innych narodów. Fredro podaje je na 3,000,000 owczesnych złot. (w r. 1572) czyli na blizko 20,000,000 dzisiejszych. Składały się zaś z dochodów ekonomii rozmaitych w koronie i Litwie, z żup solnych, ceł, kopalni olkuskich, mennicy i t d. Jak ekonomie królewskie intratne być musiały, dowodzi ta okoliczność, że Stanisław August, za utracone w zaborze 1772 roku ekonomie królewskie, pobierał corocznie 4,000,000 zł. pols. z skarbu koronnego i litewskiego. Jeżeli więc ten lub ów monarcha z przyczyny zbyt wielkiéj hojności, jak np. Władysław IV., lub dla zbytniéj rozrzutności, jak np. Alexander, był gołym; nie pochodziło to bynajmniéj z szczupłości dochodów królewskich, ale z charakteru monarchy. Monarchowie rządniejsi lub skępsi nie tylko opędzali dochodami temi potrzeby swoje w sposób odpowiadający dostojności władzców potężnego narodu, ale nawet zostawiali po sobie niezmierne summy: dowodem tego są Kazimierz W., Zygmunt I., Batory, Jan Sobieski. Nawet mniéj rzędni, jakimi byli Władysław Jagiełło i Kazimierz Jagielończyk kupowali całe prowincye, lub pożyczali znaczne summy cesarzom niemieckim, których dochody, według takowego rozumowania autora artykułu, musiały być jeszcze mniejsze.

Co autor artykułu prawi o Auguście II., że chciał wojskowość w Polsce podnieść, jest jego urojeniem. Nie w tym celu sprowadzał August półki saskie do Polski; zamiar jego był wyższy, chwalebny, mógł był zbawić Polskę: chciał on za pomocą półków saskich zmienić formę rządu. Myśl tak piękna, warta wielkiego człowieka, nieudała się dla tego, że August II. po tylu klęskach w wojnie z Karolem XII., po upokorzeniu, albo raczéj upodleniu się pokojem altransztadzkim, po rozpasanem na wszystko złe życiu, nie mógł mieć po sobie opinii narodu, opinii tak potrzebnéj każdemu przedsiębiorącemu jakąkolwiek reformę, cóż dopiero reformę praw kardynalnych. Gdyby się reforma praw kardynalnych była udała, reforma wojska byłaby, jak się samo przez się rozumie, najbliższym jéj skutkiem. Wojsko narodowe podaje autor na 36,000 głów. Tu nie zajrzał nawet do pisarzy o prawie politycznem polskiem, nie zajrzał do konstytucyi, z których byłby się dowiedział, że wojsko polskie od r. 1717 składało się tylko z 24,000 ludzi, to jest z 16,000 w koronie, a 8000 w Litwie.

Myli się autor artykułu grubo, utrzymując, że na akademii krakowskiéj od Zygmunta III. nie uczono nic więcéj, tylko teologii Uczono bowiem w niéj tego wszystkiego, (mniejsza o to jak), co na uniwersytetach niemieckich, a nazwiska Brosciuszów, Tońskich, Zalaszowskich i innych sławnych akademików krakowskich, jeżeli je autor zna, powinny go o tém przekonywać.

Prócz Woluminów praw Konarskiego, autorowi artykułu nie znane są inne zbiory praw polskich: Czyż nie słyszał nigdy o Łaskim, Taszyckim, Sarnickim, Przyłuskim, Szarfenbergu, Januszowskim, Kołudzkim i innych kompilatorach prawa polskiego? Wolumina zaś legum Konarskiego niczem więcéj nie są, jak tylko przedrukowaniem dawniejszych konstytucyi sejmowych.

Do przyczyn upadku Polski liczy autor artykułu także porzucenie nic nieznaczących zwyczajów; n. p. stawiania hetmanowi na ucztach wojskowych pieczeni zrebięcéj; picia z trzewików damskich i t. d. Piotr W. zacierał podobne obyczaje starożytne swego narodu: golił brody, nadawał sukniom inny krój, literom inną formę i t. p., a przecież państwo rossyjskie nie zaczęło od jego czasów upadać; ale owszem coraz bardziéj się wznosić. Więc też same przyczyny miałyżby tu zba-

wienne, owdzie zgubne skutki wydawać? Bynajmniéj! ale odstąpienie od takich błachych zwyczajów tyle wywarło wpływu na los Polski, ile ucięcie harcopów w ościennem państwie na ducha i męztwo żołnierza.

Oburza nas twierdzenie autora, że na niwach sarmackich gruntowniejsze nauki nigdy osobliwie nie kwitnęły. Pytamy, co autor rozumie, pod naukami gruntowniejszemi? Jeżeli Polakom zarzuca brak Newtonów, Leibniców, Kartezych i t p. proszę nam powiedzieć, ile Niemcy, Francuzi i Anglicy mają takich ludzi, którzy w gałęziach nauk swoich epokę stanowią. Gdyby autor artykułu, przed zabraniem się do pisania historyi polskiéj, przeszedł się był po niwach sarmackich, byłby się przekonał, że niwy te kwitnęły niegdyś, a kwitnęły bardzo; byłby ujrzał na nich Johnstonów, Bzowskich, Heweliuszów, Makowskich, Modrzewskich, Petrycych, Sarbieskich i t. p. mężów, których obok największych pisarzy reszty Europy śmiało stawiać można.

Jako znak niknącéj narodowości uważa autor, że Polacy w 18tym wieku rzucili się do pisania satyr i tłómaczyli obce dzieła. Takim sposobem Rzymianie utracili swoję narodowość już za czasów Horacego, bo pisali satyry i tłómaczyli dzieła greckie, Francuzi za czasów Boala. A co się stanie z narodowością niemiecką od czasów Rabnera, Richtera, a zwłaszcza dziś, gdzie niemal każda 3cia książka niemiecka jest tłómaczeniem z obcych języków, gdzie Mundtowie, Börnowie, Gutzkowie i t. d. ostrzejsze piszą satyry niż Juwenalis?

Pomijamy usterki, jakie są np. na str. 52., gdzie autor mówiąc o sejmie w r. 1776, na którym, według niego Czartoryscy mieli sobie ująć wszystkich posłów, wyjąwszy 8, do tych ośmiu liczy także sławnego Tadeusza Czackiego, autora dzieła o prawach litewskich, mającego natenczas ledwie 2 lub 3 lata! Jestto *qui pro quo*, które na każdéj niemal stronie znaleźć można; i tak np. na stronie 75. z Gorków robi autor Goreckich, z Jana Suchorzewskiego, osławionego w czasie sejmu wielkiego opponenta, robi Skorkowskiego i t. d. Jarosław Skotnicki, arcybiskup gnieźnieński nazwanym jest Sokolnickim (str. 56.) i t. d.

Panowanie Stanisława Augusta jest zbyt blizkiem naszych czasów, abyśmy je przebiegać mogli, pomijamy je więc milczeniem, nadmieniając, że niemniéj w niem fałszywych dat, faktów, wniosków, obrazów.

W ogólności cały ten artykuł okazuje nie tylko niedostateczną znajomość dziejów polskich, ale nawet sąd krzywy, naciągający wszystko ku swemu celowi, i nieznajomość dziejów świata i serca ludzkiego. Całą winę upadku Polski, składa autor na naród, nie przypisując nic zewnętrznym okolicznościom, pewnemu fatalizmowi, panującym. Ostatni przecież przyczynili się niezmiernie do tego upadku. Zaśpiewa może autor na to piosnkę oklepaną, że monarchowie polscy mieli ręce związane, że potoku bystro płynącego niczem wstrzymać nie można było. Na to mu odpowiem, że niełatwiejsza była sprawa Piotrowi W. z Bojarami i Strelicami, jak np. Sobieskiemu z znarowioną ślachtą polską; owszem ostatni miał jeszcze tę korzyść nad pierwszym, że gdyby się był o co wielkiego pokusił, a rzecz się nie udała, najwięcéj czekałby go był jaki sejm **i n k w i z y c y j n y**, albo **p a c y f i k a c y j n y**, gdy tymczasem Piotr W. plany swoje mógł życiem przypłacić. Autor uwziął się dowieść, że Polska bez ratunku dążyła do upadku, jak strumień do morza, nie pomnąc na to, że już od środka panowania Augusta III. naród zatrzymał się nad przepaścią i spiesznym krokiem od niéj się odwracał. Popchnął go w nię zbieg zewnętrznych okoliczności; bo niech kto jak chce mówi, gmach ten, dajmy że i zmorszały, stałby był jeszcze, gdyby go burze polityczne nie zwaliły, jak burze w świecie fizycznym walą odwieczne dęby, zapuszczające konary swoje głęboko w ziemię. Autor widzi w gmachu tym same tylko pustki, zamilczając o tém, że pustki takowe sprawiły obce najazdy; zamilczając, że od środka panowania Augusta III. zaczęto budowę zewsząd podpierać, owszem w samych węgłach wzmacniać, przez zaprowadzenie reformy w wychowaniu publicznem u pijarów i jezuitów, przez dźwiganie nauk i języka ojczystego i t. p. Autor chcąc się utrzymać przy swojem zdaniu, że Polska była tylko stósem ruin, obiera pewien najniekorzystniejszy punkt w jéj historyi i pokazuje, jak mała liczba była miast mających po 10000 i 1000 dusz ludności. Równem prawem możnaby powiedzieć o Niemczech, że były pustkami, obrawszy pewien punkt ich historyi, np. wojnę trzydziestoletnią. Ale nawet w tem twierdzeniu, że w dawnéj Polsce nie było 20 miast, mających więcéj nad 1000 dusz ludności, pomylił się grubo autor i dowiódł jak płytko, płocho rzeczy uważał, gdy bez żadnego dowodu śmiał klassyfikować miasta polskie podług ludności. My go z lepszych źródeł zapewnić możemy, że w saméj Wielkiéj Polsce i Prusach królewskich przy wstąpieniu Stanisława Augusta na tron, więcéj niż 20 miast było, których ludność przechodziła 3000 dusz; do tych n. p. należały: Poznań, Wschowa, Leszno, Rawicz, Zduny, Kalisz, Kościan, Miedzyrzecz, Piotrków, Kargowa, Toruń, Gdańsk, Malborg, Chełmno, Szmigiel, Wolsztyn, Bojanowo, Skwierzyna, Wałcz, Inowracław i t. d.

W. W.

Literatura krajowa.

Poezya.

Kwiaty sławiańskie.

Gdy najmilszy z rajów
Ziemi widzieć chcesz,
Do sławiańskich krajów
Zbierać kwiaty spiesz;
Na sławiańskiéj ziemi
Wieczna wiosna trwa,
Pięknościami swemi
Wiecznie w duszy gra.

Jéj kwiaty — dziewice
To aniołów zbiór,
Bo anielskie lice
Jest sławiańskich cór,
Miłe, krasne, hoże,
Któż im hołdów swych
Nie złoży w pokorze,
Nie pokocha ich?!

Czy czeskie dzieweczki
Pieścisz okiem twém,
Co jak turkaweczki
Bawią głosem swym;
Czy Rusinki krasne
Czarnookie znasz;
Czy jak zorze jasne
Polki w sercu masz;

Każda w duszy budzi
Rajskich uciech świat,
Najszczęśliwszyś z ludzi,
Z aniołamiś brat.

Lecz w tém pięknych kole
Ja wybrałem już,
I me Polki wolę
W téj krainie róż;
Lube gdy ich oko
Czucia zatli łzą,
Wzniesione wysoko
Kwiatem duszy są.

St. Jasz.

Fantazye wieczorne.

I.

Szaleją wiatry tam za oknami mojego cichego mieszkania. Suche gałęzie drzew tłuką się z łoskotem jedne o drugie, a Listopad odmiata ostatnie liście z ich szczytów. Zdala dolatuje ucha niemiły szelest wiatru przeciskającego się przez szyby kościoła, jak poświst piszczałki zbójcy po lesie. Na ulicy pusto, — ludzie zamknęli się w domach, ustępując miejsca żywiołom do stoczenia walki w nocy jesiennéj. Spokojnie w mieszkaniu, chociaż burza huczy u proga i w sercu. Głownia dopalała się na kominie, trąciłem ją i posypała tysiącem iskier w górę — i tysiące myśli zabłysło. Jak roje duchów zaczęły krążyć przedemną, otoczyły mnie. Jak szczątek świecącego metalu błyszczy w kalejdoskopie w rozlicznych kształtach i barwach, tak moja myśl na tysiączne rozstrzeliła się promienie, — zacząłem marzyć.

II.

Dzieci — chodźcie tu do mnie, usiądźcie sobie przy moich nogach, dam wam zabawek. Oto czaszka z głowy jakiegoś bohatera — próżna — nielękajcie się. Niegdyś w téj skorupie było trochę gorącego mózgu i wody, woda od gorąca przemieniła się w parę, a para rozsadziła genialny czerep. Bawcie się nią, nadobne dziatki, — cóż to, wy niechcecie? .... Ach! niepojmujecie całéj rozkoszy, jaką się czuje w ujęciu tego kawałka kości! Na waszych mózgach spoczywa mgła grubsza, niż mgły listopadowe, — ale strzeżcie się! — bo kiedy słońce wiosny, te mgły roztopi i mózg zacznie się palić sam w sobie, główki wasze popękają, jak race w powietrzu. A może też wasze drobne i słabe ręce niemogą podźwignąć czaszki bohatera? — poprubujcieno dziatki, który z was ją podźwignąć zdoła, zagrzmi kiedyś po świecie, po śmierci zrobią go pół-bogiem, będą o nim ludzie gadać i pisać przez kilka wieków — długo, — póki im się niesprzykszy, póki nowego nieznajdą cacka.

III.

A ty czego po przepaściach włóczysz się młodzieńcze z okiem zapadłym i sercem rozdartym? — Po co depczesz poschłe liście z takim powabem i z rozkoszą słuchasz pieśni chłodnych wiatrów? — Po co poglądasz ku gwiazdom, jak gdybyś pragnął pomiędzy niemi zamieszkać? — Ty się kochasz! .... i rozpaczasz? .... nierozsądny! — śmiéj się, tańcuj, szaléj! — Widzisz, jak wicher poprosił swoję kochankę chmurę do tańca. Żywioły walca zagrały i chmura tańczy w objęciach wichru. Z pod lekkich stóp grady lecą, — pot deszczami ścieka z czoła zmęczonéj kochanki. Jéj warkocze czarne, jak całun rozpletły się, rozwiały włosy na całe pół nieba. Oblicza rozognione miłością; — serca, pulsa, biją podwojonem biciem — gromami. Jak ona szczęśliwa! jaki on szczęśliwy, tocząc lubieżne koła w salonie — przestrzeni świata! Patrz! oto uściskali się raz jeszcze, — serce przy sercu, usta na ustach, ten ognisty pocałunek objawił się błyskawicą. Uściskali się raz jeszcze, raz ostatni; — był to uścisk śmierci obojga. Wionęli jak dym ze stósu męczenników, i już ani śladu z wichru, chmury i walca. — Poproś i ty twoję kochankę do takiego tańca — spłoniecie w jednéj chwili, ale to będzie chwila wielka, chwila szczęścia! — A na cóż żądać szczęścia dłużéj, jak na chwilę? — choćby tak małą, jak mgnienie rzęs twojéj ulubionéj, gdy zalotnie mrugnie okiem

na twojego przyjaciela! — Wróć do domu młodzieńcze, czytać powieści Koka, — lub upij się.

IV.

Widzicie tego skurczonego człowieka, leżącego całym ciałem na stósach książek? — Jego oko wpiło się w zbutwiały pargamin, jak sztylet zbójcy w pierś podróżnego, — i wywróciło się słupem, jak sztylet jeźli się skruszy na żebrach i niedosięgnie skarbnicy życia— serca. On nic nie czuje, nic nie słyszy. Tam za gotyckiemi oknami księgozbioru, przyroda roztoczyła wszystkie wdzięki jesieni. Tam lasy mają liście ze złota. Purpury wschodu nie tak piękne i jasne, jak płaszcz zachodzącego słońca utkany z chmury, przeszyty milionem promieni łamiących się w grubych kroplach mgły. Tam za oknami powietrze tak czyste i świeże, jak wody zdrojów. Chłodny, orzeźwiający powiew wieczoru tak wstrząsa całym ciałem rozkosznie, jak uściśnienie kochanki. On nic z tego wszystkiego nieczuje, — patrzy namiętnie w książkę. Litery zaczynają się poruszać — rosną — coraz większe, — wychodzą w dziwacznych kształtach ze zwojów pargaminowych — otaczają go, biorą, chwytają pod ręce, wstępują do mózgu, i jak tuman stepu lecą z nim po wirach przeszłości. Drży — zaledwie oddycha, wytęża myśl coraz bardziéj, jak sprężynę ze stali, aż pękła! Weźcie go do szpitala Tam za oknami księgozbioru stała mu otworem jedna wielka księga mądrości, pisana jasno i zrozumiale, przecież on nieprzeczytał ani jednéj karty w księdze przyrody.

V.

A!... stypa. Umarł stary lichwiarz, co tak żył na tym świecie, jak mech na spruchniałym dachu staréj studni, albo grzyb robaczliwy pod kamieniem. Zostawił kilku synów, w kwiecie wieku, przystojnych, z sercem pragnącym rozkoszy i otwartym do świata, jak skrzynie ojca po śmierci. Zgonem swoim, dał im klucz do klatki, w któréj byli więzieni; otwarli ją, wyjrzeli i wybiegli na świat, i otóż stypa na początek. Pijcie na jego grobie! zostawił wam w puściznie swą duszę — złoto; co wam do reszty, do psującego się ciała? Tłumy przyjaciół wybiegły, jakby z pod ziemi— piją, nalewają żyły winem, bo świat już z nich krew wypił, jak pijawka. Płynie wino, płynie złoto, śmiech i wrzawa podrzeźnia psalmom pogrzebnym. Ach! to miło mieć pieniądze, można — upić się!! — Dziady kościelne, zbiegajcie się, pijcie także. Nowe dziedzice nieszczędzą, nieżałują dla was wódki, dla siebie wina, — pijcie! — Co was to ma obchodzić, że łachmany wiszą i ciało nagie wygląda, choć nie macie domu, miejsca pod dachem, gdziebyście głowy złożyć mogli po głodzie całodziennym. Starcy, kaleki, pijcie, jedzcie i tańczcie! Dla was jedyna rozkosz, — upić się aż na śmierć! — Długo jeszcze płynęło wino i złoto i spłynęło nareszcie, jak ostatnie tchnienie łakomcy, który je zbierał. — Pod kościoł parafialny przybyło niedługo kilku żebraków!

VI.

Widziałem młodzieńca, klęczał u stóp ładnéj dziewczyny, nazywał ją Aniołem, całował alabastrowe rączki i przysięgał jéj miłość do śmierci. — Zaślubili się wkrótce, szczęście i rozkosz wstąpiły w ich dom gościną. Zdało mi się, że do raju poglądam, kiedy patrzyłem na ich szczęście. Dnie płynęły im tak słodko, a oni tak oszczędzali rozkoszy, jak się oszczędza i smakuje stare wino, popijając go po trochu. Ale wino i po trochu się wypije i dno suche, szklane, zaświeci niemile. — W półroku młodzieniec mąż już nieklękał przed swoją małżonką. Ona była dla niego sprzętem pięknym, potrzebnym w domu do ozdoby i użytku. On, był dla niéj także sprzętem, podporą, bez któréj kobieta nie ustałaby na téj chwiejącéj się ziemi. Czuła, że mąż jest nieodbitą potrzebą i dla tego milczała i poddawała się z pokorą przeznaczeniu, kiedy męża napadały paroxyzmy, — miłości. Wtedy, nienazywał ją Aniołem, niecałował z zapałem drobniutkich rączek, nie przysięgał miłości bez końca; ale wychodził z domu i przesiedział dzień cały w kawiarni. Żona zostawała w domu i udawała męża przed domownikami, którzy znowu szukali przedmiotu, którym by okazać mogli — namiętną miłość ich państwa. Kto się kocha, ten się kłóci, mówi przysłowie. Niech żyje stan małżeński!

VII.

Oto dwaj przyjaciele. Ach! jakaż rozkosz na świecie wyrówna przyjaźni? — Jedna dusza rozdzielona i zaklęta w dwa ciała, usiłująca ciągle złączyć się i spłynąć w siebie, jak płomień pożaru przedzielony dachem, zbiega się w jednę, jasną piramidę nad jego szczytem. Myśli, jak duże przyjaźne gwiazdy, krążą po jednéj elipsie. Serca biją w takt uczuciom zgodnie i harmonijnie. Idą po drodze życia, jak koła na jednéj osi. Ale cóż, — droga nagle stała się nierówna i jedno koło wbiegło w głęboką koléj, wyrwaną potokiem nawalnicy, a drugie podniosło się i toczyło poważnie po wyniosłéj skarpie kolei. Na takiéj drodze oś pękła, — musiała pęknąć — i koła rozleciały się na obie strony. Czegoż stronicie od siebie dzieci jednych uczuć i myśli? — Przyjaciele! uściskajcie się, podajcie sobie ręce! Nieusłuchali, — jeden spojrzał okiem wyższości i politowania, a drugi mu odpłacił spojrzeniem pogardy. Niech żyje przyjaźń!...

VIII.

Bal. — Pałac błyszczy tysiącem jarzęcych świateł. Muzyka brzmi, a jéj miłe rozgłośne tony rozpływają się

po cieniach nocy. Gazowe, lotne postacie krążą w lubieżnych parach po woskowanéj posadzce, odbijają się, pomnażają po trzykroć liczbę w zwierciadlanych ścianach salonu. Rozpierzchnione zapachy kwiatów chwytają i wciągają w podnoszące się piersi, rozognione powabem usta. Słowa miłości, zachwycenia, przelatują, jak nadobne aniołki po nad głowami tłumu. To czysty raj ziemski! wszystkie rozkosze zmieszały się tutaj, porwały rozprężone zmysły i ponurzyły w chaosie zapomnienia. Jakiż nowy świat z tego chaosu wystrzeli? Tu niema ani przyszłości, ani przeszłości, — przeszłość i przyszłość zwiała się w to jedno urocze słowo — dziś. — O! wrzucić pomiędzy te tłumy myśl o jutrze, a zachmurzą się pogodne czoła godowników, pobledną jarzęce światła, muzyka straci swój urok. Tak gracz, kiedy odsłoni kartę, któréj powierzył honor i majątek, pełen nadziei wygranéj, a karta odwróci się z szyderstwem, zedrze mu rumieniec z twarzy, wykrzywi goryczą usta, i na strupiałym bladością czole zawiesi myśl śmierci! — Ale na cóż mieszać błogi spokój zapomnienia? Szczęście ludzi tkwi w mgle ich niewiadomości, jak gwiazda w tumanie chmury; lecz gdy powiew namysłu mgłę rozwieje i dniem się rozjaśni widnokrąg, — daremnie wtedy poglądać na gwiazdę, już ona się roztopiła w płomienistym wzroku słońca. Marzenia ulatują z cieniami nocy.

E. W.

Filologia, filozofia i matematyka, uważane jako zasadnicze umiejętności naukowego wychowania.

(Drugi wyimek. — O filozofii.)

(Ciąg dalszy.)

Jakobi, który wziął za zasadę, że tylko rzeczy granicami objęte, pojąć jesteśmy zdolni, a nieskończone bezpośredniem wiedzeniem poznawamy, pojęcia nieskończoności Spinozy uważał za panteistyczne.*) Bader, kładąc wiarę za przewodnika każdego filozoficznego badania, najnowsze filozofie musiał poczytać za irreligijne.**) Śniadecki, jakeśmy widzieli, wychodząc ze stanowiska empirycznego, nazwał wszystkie metafizyczne dociekania urojeniami. Odwołując się do tego, cośmy wyżéj powiedzieli o sprzecznościach pojedyńczych filozoficznych systemów z sobą, w tém miejscu dodamy jeszcze porównanie ku objaśnieniu. Wiadomo, że elektryczność jest dodatna i ujemna, i że różne są każdéj własności. Gdyby ktoś poznał elektryczność tylko w stanie dodatnym, ktoś inny tylko w stanie ujemnym, obydwaj wyświecając naturę elektryczności, sprzeczne zupełnie z sobą podaliby o niéj przymioty. Taka sprzeczność uderzałaby i myliła, ale tych tylko, którzy się do wyższego nie wznieśli wiedzenia, że ta dwoistość rożnych własności, właśnie elekryczność stanowi, i że trzeba ją było poznać z tych dwóch przeciwnych sobie stron, aby naturę jéj dokładnie dociec. Podobnie się ma z systematami filozoficznemi, które główny badań swoich przedmiot, wszędzie ten sam, w różnych poznawały objawieniach się myśli.

Źle zrozumiana gorliwość zatém, lub uprzedzone ograniczenie się na własne stanowisko, jako na najlepsze, w połączeniu w końcu z powierzchownością lub całkowitą filozofii niewiadomością, sprowadziło na nią tyle potwarzy, tém częściéj powtarzanych, im mniéj było chęci i woli krytycznego roztrząśnienia prawdy. O każdéj innéj umiejętności, temu tylko sądzić pozwolono, kto jéj jest adeptem, kto ją poznał i zgłębił: o filozofii rozprawiać każdy sądzi mieć prawo; prawie przyjęto, że do tego nie potrzeba umiejętnego w niéj ukształcenia, ale dosyć na tak nazwanym zdrowym rozsądku. Rozumowanie bez systemu i jedności, o umiejętności najważniejszéj i najtrudniejszéj, w któréj się wszystko z jednéj zasady rozwija, odrywanie z tego systemu pojedyńczych myśli i roztrząsanie ich według zwyczajnych rozumu pojęć; to zwykle bywa filozoficzną krytyką. Metafizyczne przedmioty z góry uważają się za niedocieczone, za zakazane od przyrodzenia, a przeto w tém rozumieniu filozofia albo marzy, albo co gorsza, podnosi rokosz przeciwko ustawom przez samego Twórcę położonym. Odrzucamy zgłębienie pojęć, których głosowe znaki ciągle mamy w ustach. Bóg, natura, świat, duch, dusza, wolność, powinność i tyle innych, są to wyrazy, których każdy używa, i w myśl jaką wtrąca; ale co one znaczą nie bada. Ciemne tylko, jakby instynktowe mamy o nich wyobrażenie; a gdy się nad ich znaczeniem według niefilozoficznych pojęć zastanowimy, myśl się błąka, umysł chwieje, i dociekania płonne albo żadnego nie przynoszą skutku, albo pomącą wyobrażenia. Jakąż wartość mieć może myśl, w któréj mieścimy wyraz tak nieoznaczonego znaczenia? Kto zaś pojęcia jako świętego lub przez opaczne zrozumienie niebezpiecznego tykać się lęka, niech się lęka samychże nazw tych pojęć. Żydom tak głęboko wdrażona była wiarą i przykazaniem Mojżesza świętość Boga, że nazwiska tego wymówić nikt nie poważał się. Natrafiamy też w historyi czasy ciemnoty i gwałtu, w których pewnych wyrazów publicznie używać nie było wolno.

Ta powierzchowność filozofii uważania bywa także skutkiem osobistego nieusposobienia. Kto do niéj przy-

---

*) Zobacz jego »Brtefe über Spinoza.«

**) Zob. Franz von Bader »Bemerkungen über einige antireligiöse Philosophien unserer Zeit. 1824.»

stępuje nieukształcony z gołym, jak Bako mówi, rozumem, bez ogólnych przynajmniéj innych nauk wiadomości; kto nie przywykł do samoistnego zastanawiania się, ale bierze rzeczy tak, jak mu je podają; kto się wznieść nie potrafi do odrębnych od zmysłowych wrażeń pomysłów, i przyrosł, że tak powiem, zmysłami do rzeczy fizycznych; ten tylko opacznie zrozumi filozofią, i nie tylko żadnéj z niéj nie odniesie korzyści, ale otrzyma w szkodzie, że straci punkt oparcia, z którego dotąd wychodził. Kiedy Leibnic wykładał w Szarlottenburgu dla całego książęcego dworu filozofią, i rozwijał logiczną prawdę, że nie masz dwóch rzeczy zupełnie sobie równych, bo dla tego właśnie, że są dwie, jedna nie może być drugą, a druga nie może być pierwszą, i różnica ich dla tego logicznie jest uzasadniona — damom i dworzanom nie wydawało się to podobném; rozumieli, że w tak nieprzeliczonéj mnogości listków jednego gatunku, dwa całkiem równe znaleźć się powinny, i szukali ich po parku i ogrodach, aby tą rzeczywistością zbić twierdzenie Leibnica. Podobnie nie jedni oskarzyciele filozofii umysłowe pojęcia, podług rzeczy fizycznych mierzą. Filozofia daléj potrzebuje usilności, pracy i natężonego myślenia; jéj jak zabawę traktować, pism jéj jak romanse czytać nie można. Kto tylko, jak to mówią, poliźnie filozofii, taki ją fałszywie tłómaczyć i przyjęte wyobrażenia równie krzywo podług niéj uważać będzie. Nie umiejąc rozróżnić formy od istoty, nie przejęty moralnością filozoficzną, nie ustalony w racyonalnych prawdach religijnych; wywraca niebacznie pozytywne zasady wiary, a nie natrafiając na żadną podstawę, na żaden pewny cel, do któregoby wszystkie zmierzały działania, chodzi po bezdróżach. Myli się, kto rozumi, iż filozofia nie ma religii, a filozof nie jest religiantem. Cześć i miłość Bogu, wypełniające religijny charakter człowieka, wypływają z poznania go, jako najwyższą istotę, twórcę wszech rzeczy, sprawcę wszystkich dobrodziejstw, mądrość nieskończoną. Czyli objawiona wiara, czyli pojęcie filozoficzne było początkiem takiego poznania, nie stanowi; zawsze ono unosi ducha badawczego do wysokich religijnych uczuć i moralnego działania.

Najnowsza w czasie filozofia, jako wynikła z wszystkich poprzednich musi być najdoskonalsza; charakter zasadniczego w naukowém wychowaniu kształcenia do niéj zatém wyłącznie się ściąga, i z wykładu jéj systemu wykazać się powinien. Lecz gdy przeciw filozofii w ogólności, bez względu na czas i system, z takliczenmi i z tylu stron występowano oskarzeniami, te wprzody uprzątnąć należało; co uczyniwszy według sił, tu zdaje się być miejsce, dać po krótce charakterystykę systemu filozofii Hegla. Jak Kartezyusz odrzucając wszelaką rzeczy wiadomość, jako niepewną, szukał początkowego pewnika, pierwszéj rozumu prawdy, z któréjby wszystkie inne się rozwijały, i znalazł go w owym wniosku: myślę, a zatém jestem (*cogito ergo sum*); jak Fichte pierwszéj szukał prawdy oczywistéj, jako pierwszego węgielnego kamienia do budowy swojéj filozofii i znalazł ją w jedności myśli pojmującéj i pojętéj (ich gleich ich); tak Hegel bierze zaczątek filozofii z najmniéj oznaczonéj myśli, mającéj się dopiero wypełniać w dalszym postępie. Taką niczem nie wypełnioną abstrakcyą jest bycie ogólne (das Sein). Do dalszego rozwinięcia tego zaczątkowego wyobrażenia pomaga mu dyalektyczna metoda, która w każdéj myśli wykrywa przeciwnią, antitezę, i z połączenia tych dwóch przeciwnych myśli, nową utwarza. I tak i owe niczém nie oznaczone bycie, wyłącza każdy byt szczególny, jest zatém negacyą samego siebie, jest nicością. Obie myśli w połączeniu rodzą myśl tworzenia się (das Werden). W tworzeniu się, co było, być przestaje, stawając się czém inném, a co nie było, być zaczyna; tworzenie się jest nieustanném przeobrażaniem się tych dwóch myśli znikania i powstawania.

(Dokończenie nastąpi.)

Krytyka.

Królodworski rękopis, zbiór staroczeskich bohatyrskich i lirycznych śpiewów, nalezionych i wydanych przez Wacława Hankę, bibliotekarza król. narod. czes. muzeum, a z czeskiego na polskie przez Lucyana Siemieńskiego przełożonych. Kraków. W tłoczni D. E. Friedleina. 1836. (str. 135.)

Pod piękném niebem Italii, które Wezuw, jak wrogi geniusz dymem i lawą zachmurza, wyjrzały z pod kilkowiekowych naspów rzędy zabudowań, szczątki głośnego w starożytności grodu. Różny sąd o nich przechodniów. Żyjący w jednochwilowéj dzisiejszości ledwie je raczą obejrzeć, a kurz i wrzawa powierzchni jest wszystko, co w ich pamięci zostaje. Coś cudackiego zajrzał ktoś inny w ich kształcie i przebąkiwa o smaku. Grono ciekawych szperaczy obnosi porozrywane kamyki, mniéj dbając o wyraz, jaki się zamykał w ich spoju. Najdłużéj spoczywa nad niemi oko umnika: odbudował on w duszy całą starożytnego gmachu rozległość, wypełnił poprzeciane łuki i gzymsów obrywki, a w najdrobniejszych rysach pojedyńczych budowli najduje nowy dla siebie żywioł jego kunszt nieśmiertelny. Sam-tu umnicy, sam młodzi piewcy! pokażę wam takież zjawisko w świecie umysłowym. Szczątki tego duchowego Herkulanum nie jedno z owém starożytném związało podobieństwo. I o niém, jak i o tamtém najdziecie świadectwo w dawnych kronikach; nad ziemią jego unosił się burzliwszy od Wezuwiusza geniusz wojen, który je w gruzach zagrzebał; a dzisiejsza twarz jego przedstawia rysy, które wy tylko dokładnie pojąć i godnie ocenić, a razem szczerby mocą sił twórczych wypełnić zdołacie.

Gdzież rękojmie wysokiéj tego pomnika wartości? zapyta podejrzliwy dziewiętnastego wieku estetyk; praca p. Siemieńskiego tak mało poszukiwana. Twórcy tych pieni obejmowaliż wieki swą piersią? Byliżto piewcy natchnieni, i w czém misterstwo ich tworów? — Za odpowiedź złożę kilka obrazów śpiewu bohatyrskiego, od którego się przekład polski poczyna, a unikając wszelkich przymieszków i zaokrągleń, będę się starał odsłonić samą rdzeń tworu.

Uważcie początek. Czém jest rzut pierwszy w natchnieniu, czujecie dobrze wy, co się oddajecie umnictwu. Możnaby zeń obliczyć całą donośność sił twórczych i z pierwszego ich kierunku wymiarkować los tworu. Zmysłowy spatrywacz przyrody przyrównałby go do ukrytego w łonie matki pierwocia (embrio): kształty, któremi się rozmaite członki przeciągną, spoczywają już w niém oddawna, ale ich rozmiar tak drobny, ich rysy takniewydatne, że je z trudnością wzrok najwprawniejszy dostrzega. A jednak w dalszych przejawach rozwinąć się może to tylko, co już w niém jako zaród spoczywa. Przedmiotem tego śpiewu jest »wielka klęska« i taka nazwa pierwotna. Wydawcy nazwali go Zaboj, Sławoj a Ludiek. Pierwsze rysy zamknięto w tych słowach:

Z czarnego lasu występuje skała,
Na skałę wstąpił silny Zaboj,
Obziera wsze krainy
I zastękał płaczem gołębim.

Zerwał się jako jeleń,
Bieży od męża do męża,
Każdemu rzekł zcicha krótkie słowo,
I pokłonił się bogom.

Przypatrzcie się dobrze tym niewielu wyrazom: Czarny las — skała — silny Zaboj niezbiegły się tu przypadkiem; odpowiadają one nadpisowi: o wielkiéj klęsce. Jakichże barw do podobnego obrazu dobieralibyście mistrze dzisiejsi? Daléj dojrzycie, jak niedola krain, które Zaboj ze skały ogląda, spływa w pierś jego, rodzi ból najpierw, potém pomysł, którego uskutecznienie stanowi treść pieśni. Takie braterstwo przyrody zewnętrznéj z myślą poczuwa tylko piewca natchniony. Z krótkich słów rzeczonych cicho domyślacie się Zabojowego zamiaru, (a jego czystość widoczną z pokłonu bogom, który ten obraz zakończa. Tak zawiązawszy snuje rzecz daléj:

Trzeciéj nocy świecił księżyc,
Zeszli się męże w czarny las,
Stanął Zaboj i wziął dźwięczne waryto

Wyżéj napomkniono samém złożeniem obrazu, że pomysł Zaboja był mu natchniony widokiem krain; dając mu teraz piewca do rąk waryto czyli bardon, rozwija tylko to, co się ukrywało w obrazie. Pieśń Zabojowa składa się z dwóch części, jakby dwóch wrótek, przerwanych wrażeniem słuchaczów. W pierwszéj maluje krzywdy doznane, w drugiéj trafném podobieństwem nasuwa sposób zemsty, zostawując odgadnienie słuchaczom, dla tém większego wrażenia. Słowa Antoniusza przy zwłokach Cezara, u Szekspira; słowa Nebaby do zhukanego kozactwa u Goszczyńskiego, nie są ani trafniéj wynalezione, ani obliczone ściśléj na skutek; a w muzyce towarzyszącéj słowom Zabojowym, możeby się dała upatrzyć różnica wieku i narodu.

W dni kilka zchodzą się bohatyrowie gromadnie. Daléj ku modremu wierzchowi! woła Zaboj, tam sobie ręce podamy. Poco, pyta Sławoj, mamyż od góry męztwa zasiągać? ztąd uderzajmy na wrogów!

— Bracie Sławoju! złe rady;
Jeżeli zetrzeć chcesz gady,
Na łeb im nastąp i złam,
A ich łeb — tam!

Łajanie poprzedza bitwę, zapełnia jéj przerwy i rośnie z zaciekłością walczących. Zaboj rzuca (młot: przeciął szczyt i pierś Ludiekową i zrobił w wojsku przestrzał na pięć sążni:

Przestrachem wrogów gardziele ryczą,
Wojsko Zaboja szumi zdobyczą,
Radością wzrok ich się pali.

Pogoń za uciekającymi. Doganiacze przebywają więcéj rzek. Piewca zawiadamia nas o tém dwukrotném powtórzeniem *) obrazu powodzi, a samę pogoń tak maluje:

Długo, szeroko, jak starczy pole
Drapieżny sokoł rozwija
Szerokie skrzydeł półkole,
Ptaków gromady rozbija;
Wojsko Zaboja puszcza rozgony
Długo, szeroko, na wszystkie strony,
Zgraja najezdźców spędzona, zbita,
Resztę zdeptały kopyta.

Przeprowadziwszy rzecz ku końcowi, zwraca myśl do bogów i miejsca od nich polubionego:

Bracie! czy widzisz owdzie wierzch szary?
Tam, z woli bogów my zwyciężyli,
Tam dusz tysiące lata téj chwili
Z drzewa na drzewo między konary;
Zwierzch się ich boi, boi ród ptaszy,
Jedna się tylko sowa nie straszy.
Teraz na górę pojdziem, w mogiły
Umarłych grzebać, i bogom miły
Pokarm zaniesiem, bogom zbawienia
Mnogie objaty i dziękczynienia,
Dla nich w pochwalny zagrzmijmy głos,
Dla nich orężów zdobytych stos! —

Nie, wy nie odwrócicie serc waszych od takich obrazów, znawcy i wykonawcy dzieł pięknych. Świat was nie słusznie o małoduszną zazdrość posądza. Nie żądza ślachetna odznaczenia się w umnictwie, ale jego lekceważenie i przedrzyżnianie ideałowi, któryście pokochali, oburza waszę drażliwość. Z jakiegokolwiek tworu zawieją was niezaprzeczone rysy piękności, jesteście wdzięczni jego twórcy, i przyklaśniecie wraz ze mną chęciom p. S., który nam twory podobne przyswoić starał się.

Z następnych śpiewów ma każdy właściwe sobie zalety. Przytaczam z nich jeden, którego przekład p. Siemieńskiemu z serca wypłynął.

O słónko! czemu ty świecisz
Żałośnie, słónko powszednie?
Czemu ty, czemu tak świecisz
Na ludzie biedne?

Gdzie książę, zbrojny lud kędy?
Daleko zabrał go Oto;
Któż wstrzyma wrogów zapędy?
Kraju, sieroto!

Już wojska niemieckich Sasów
Ciągami ciągną długiemi
Z gorzelskich górzystych łasów
Ku naszéj ziemi.

Dawaj, kładź ludu nieboże
Twe złoto, twój sprzęt bogaty,
Nim wróg wypali, rozorze
Dwory i chaty.

Złota i srebra nie szczędzą,
Palą zagrody i wioski,
I trzody ze sobą pędzą,
Ciągną na Troski.

Nie żal się, nie żal już kmieciu!
Koniem najezdcy, czas długi
Deptana trawa, w przedleciu
Zieleni smugi.

Wybawcy naszego kraju,
Wy wieniec z polnego kwiatu,
Weselsze zasiewy w Maju,
Weseléj światu.

*) Takowe powtarzanie rzadko jest bez myśli u starożytnych. U nas niedawno wcale go nie rozumiano, a nowsi go często w miejscach niestósownych, bardziéj z mody niż z potrzeby używają.

Weselsza nadeszła zmiana:
Oto lud zbiera w gromady
Dzielny Bieniasz, syn Hermana,
Na Sasy sąsiady.

Garną się wieśniacze męże
Pod grubą skałę śród lasów,
W cepy zbrojni, jak w oręże
Na wrogów Sasów.

Bieniasz im Bieniasz na przodzie,
Za nim lud walił się cały;
Mścij się, mścij, wola, narodzie!
Oto Sas zuchwały.

Owoż szał gniewu opęta,
Obie strony rzuca na się,
Ogniem pierś dyszała wzdęta
W wściekłym zapasie.

Iskry pryskają z ócz w oczy,
Spólna zajadłość ich troczy,
Wstaje w górę cep nad cepem,
Oszczep nad oszczepem.

Dwa wojska w krwawéj potrzebie,
Jak lasy razem się zwalą,
Jak blask piorunów po niebie,
Miecze się palą.

Wrzask grozy zatrząsł krainą,
Zwierz leśny wyskoczy z nory,
Latawce skrzydła rozwiną,
Wrzask po trzy góry.

I długi łoskot śród jarów,
Tak miecze, tak włócznie grzmiały,
Jak łom zbutwiałych konarów
Z skały na skały.

W bój stanęli nieprzegięty,
Ci tych, ci tych zmódź nie mogą,
Zasadzili się na pięty,
Zaparli nogą.

Bieniasz ku górze się puszcza,
I skinął mieczem na prawo,
Tam zbrojna garnie się tłuszcza;
Skinął na lewo.

I w lewo uderzą siły,
Wystąpią na skał urwiska,
Lud z łomu kamienne bryły
Na Niemce ciska.

Z gór męże na pola zbiegli;
Ach, jak Niemcowie jęczeli,
Ach, jak Niemcowie pierzchnęli,
Aż wszyscy legli!

(Dokończenie nastąpi.)

Doniesienia literackie.

OGŁOSZENIE LITERACKIE.

Druk *Obrazu historyczno-statystycznego miasta Poznania,* składającego się z dwóch sporych tomów, ozdobionych 10ciu rycinami, już blizki jest ukończenia. Oświadczam zatém, że cena prenumeracyjna, wynosząca 3 Talary, po jego wyjściu ustanie, a zwyczajna sklepowa do 5ciu Talarów podniesioną będzie. *J. Łukaszewicz.*

W Warszawie wyszły w pierwszych dniach b. m. następujące nowości z pism peryodycznych: Magazynu powszechnego, który teraz stał się dość zajmującym, wyszedł 34ty Nr. zawierający: Llaneros Ameryki połudn. z 3ma rycinami. Rys historyi, obyczajów i języka Cyganów p. M. Kogalniczana. Recenzyą pamiętników, o królowéj Barbarze Balińskiego. — Nr. 13ty tomu 2go Swiata dramatycznego zawiera: Garrik doktorem (powieść). Pani Damoreau-Cent, skic biograficzny i t. d. — Z dzieł większych wyszedł tu tom pierwszy dzieła: Poradnik hodowli i weterynaryi dla ziemianina, czyli najnowsze teoretyczne i praktyczne prawidła hodowania, rozmnażania, ulepszania i pielęgnowania zwierząt domowych, z atlasem in fol., obejmujący 31 tablic z przeszło 100 rycinami przez Łyszkowskiego. Tom ten zawiera ogólną chorobę zwierząt domowych, szczegółową hodowlę koni, i weterynaryjną końską. Tom 2gi wyjdzie przed końcem b. r. Cena przed wyjściem 2go tomu 30 złp., po jego wyjściu 36 złp.

Zwracamy uwagę przyjaciół miedziorytów i litografii na miedzioryt Thaetera, wyobrażający sławny obraz Kaulbacha »bitwa duchów,« w którym jenialny malarz wystawia poległych w bitwie, powstających jako duchy i jako takowe walczących i zabijających się. Niemniéj na »kazanie hussytów« Lessinga w miedziorycie, i na Reindla pięknie rysowanego »Albrechta Dürera« podług statuy Raucha.

Do literackich nowości angielskich zasługujących na wspomnienie policzyć można i nowe w Londynie wyszłe dzieło o Irlandyi: »A disclosure of the principles, designs and machinations of the popish revolutionary faction of Ireland. By John Ryan.« Pochwały, które dzieło to w pismach publicznych odniosło, a którego autor jest zaciętym Torystą, mogą służyć za dowód, że dotąd w niektórych nierozsądnych złośliwych ludziach zawziętość przeciw nieszczęśliwéj Irlandyi nie ustała. — Z najnowszych powieści angielskich odznaczają się lekkim pięknym stylem, ułożeniem i dowcipem: »The Glanville family, By a Lady of rank (3 tomy) i Duty and inclination« (3 tomy) przez Mis Landon. — »Literary gazette« zachwala także nowo wyszłe dzieło: »The women of the world« przez autorkę »Diary of a desennuyée.

Nationalsagen der Kosaken, nach dem Polnischen des Mich. Czajkowski von F. Minsberg. Glogau 1838. Jest to niemieckie tłumaczenie Powieści kozackich, z któremi p. Czajkowski pierwszy raz w świecie literackim wystąpiwszy, chętne serca nie tylko własnych ziomków, ale i obcych ku sobie skłonił. Posłuchajmy, co o nim pisze recenzent niemiecki w Gersdorf Repertorium Nro. XVIII. pag. 577.

»Prawdziwą jest rozkoszą, po długiém i mozolném błądzeniu w krainie literatury, powiększéj części poziomém i ciernistém krzewiem zarosłéj, ujrzeć niespodzianie rozkoszną ocienioną dolinę, która, daleka od zgiełku i zabiegów ludzkich, wzniosła nad kotteryą i modę, pełna życia i oddychająca samą naturą, jest ową upragnioną oazą, do jakiéj nasze tęskliwe serce dawno wzdychało. Tą oazą są wzmiankowane powieści kozackie. Zaiste użyteczna jest otwierać bogate miny powieści i pieśni na łonie natury żyjących ludów, zwłaszcza tych, których historya i całe życie w tak grubéj pogrążone pomroce. Powieści tu udzielone oddychają taką oryginalnością, a oraz szczerą prostotą, z obyczajów życia, sposobu myślenia i dziejów tego ludu wyczerpniętą, iż najżywszém jest naszém życzeniem, aby autor nowym na tych łanach zebranym plonem podsycił czczość powszechnie panującą. Referent nie zna oryginału (Szkoda, bo tak oryginalny pisarz jak Czajkowski nie jest łatwy do przetłumaczenia!), lecz wnosząc z niemieckiego, jak się zdaje bardzo dobrego tłumaczenia, sądzi, że autor pierwotworu do najpierwszych pisarzy w swoim narodzie należy.«

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*